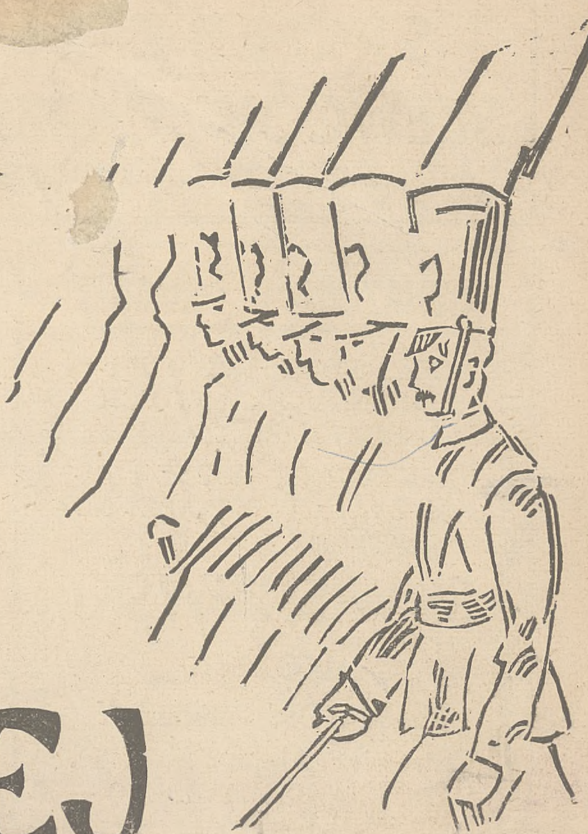
NA SZKOLNEJ ŁAWIE





J.S.

LISTOPAD 1938

Cena numeru 20 groszy

Rok XIV. Wrzesień — Październik — Listopad 1938 r. Nr. 1.

NA SZKOLNEJ ŁAWIE

CZASOPISMO OSTROWIECKIEJ MŁODZIEŻY SZKOLNEJ.

ŚWIĘTO RADOŚCI I DUMY

Dwadzieścia lat mija od chwili, gdy po przeszło półtorawiekowej niewoli powstała z krwi naszych dziadów, ojców i braci Niepodległa Rzeczpospolita. Spełniły się marzenia wielu pokoleń uciskanego narodu. Wysłuchane zostały modlitwy matek i dzieci. Sprawdziły się przepowiednie wieszczów. Waleczny duch Chrobrych, Sobieskich, Chodkiewiczów i Żółkiewskich przetrwał lata niewoli, by w odpowiednim momencie przypomnieć się światu w całej okazałości. Idea czynu zbrojnego pielęgnowana przez długie lata w gorących, prawdziwie Ojczyznę miłujących sercach zwyciężyła. Nie zabrakło polskiej szabli tam, gdzie wśród zgiełku wojny wyrąbywano nowe granice państw.

Poprzez trudy wojaczki, poprzez nędzę okopów, poprzez ból i cierpienie dążyli wytrwale żołnierze polscy, prowadzeni przez Komendanta, do jedynego celu, jaki im przyświecał: wielkiej wolnej Polski. Nie kręte ścieżki dyplomacji, nie rozmowy ambasadorów państw obcych, lecz krew, poświęcenie i męstwo bohaterów doprowadziły nas do bram wolności.

Radością wielką zabiły wszystkie serca polskie, gdy ukochany Wódz wrócił z twierdzy magdeburskiej i w dniu 11 listopada 1918 roku objął rządy.

Wielki ten Sternik przeprowadził zwycięsko nawę państwową przez wzburzone fale następnych dwu lat, uratował ją od zalewu bolszewizmu. W późniejszych czasach uporał się ze złem wewnętrznym, przeciął orężem wrzód zepsucia na organizmie społeczeństwa, przywrócił Narodowi tężyznę i zdrowie moralne, wprowadził Polskę na właściwą drogę.

A kiedy Wielki Marszałek przegrał jedyną ze swoich bitew, bitwę ze śmiercią, Naród stracił Pasterza i Przewodnika, lecz z drogi wytkniętej przez Niego, z drogi zjednoczenia i wspólnej pracy dla Państwa nie zeszedł. Poszedł dalej tą drogą i oto dzięki temu radość i duma rozpiera dziś piersi wszystkich Polaków. Radość i duma ze wszystkich osiągnięć i zwycięstw odniesionych dzięki postępowaniu po tej drodze. A spośród tych zwycięstw ostatnie było największe i najbardziej radosne.

Prastara ziemia piastowska, zabrana nam podstępnie w ciężkim dla nas okresie, wróciła do nas i dziś mieszkańcy jej, którym dotychczas nie wolno było obchodzić radosnej dla każdego Polaka rocznicy 11 listopada, mogą się głośno, otwarcie razem z całą Polską w rocznicę Odzyskania Niepodległości cieszyć z odzyskanej Ojczyzny.

Z. D. II lic.

—oOo—

PRZEZ ZJEDNOCZENIE SERC — DO POTĘŻNEJ POLSKI!

„Gdy patrzymy na minione dni, to widzimy jak gdyby palec Boży, zwrócony do narodu i pokazujący drogę, którą należy iść. Na tej drodze jest drogowskaz z napisem: „jedność, zdecydow anie,wierna służba Ojczyźnie i wiara w naszą przyszłość”.*)

Radosna wieść biegła w pierwszym dniu października b. r. przez ziemię polską, biegła, by rozjaśnić dusze polskie, by ogłosić narodowi, że jego wola została spełniona, że jego marzenia zostały ziszczone. Powrócił do Polski Śląsk Zaolzański! Pękły, obalone przez dłonie polskiego żołnierza wspartego o zjednoczoną wolę całego narodu, mury oddzielające naszych braci za Olzą od Ojczyzny. Runęły granice rozdzierające żywe ciało narodu polskiego, nie pozwalające żyć w jednym państwie jednemu narodowi, jednakowo czującemu i myślącemu, jednakim językiem mówiącemu, narodowi, w którego żyłach ta sama krew polska płynie, w którym to samo polskie serce bije.

Przeszły już te chwile, pełne napięcia, pełne wyczekiwania i gotowości. Ale pozostaną na zawsze w historii Polski, pozostaną na zawsze w duszy każdego Polaka, jako świadectwo siły i potęgi państwa polskiego, jako przykład, który przyszłym pokoleniom wskazywał będzie drogę, którą krocząc tworzy się wielkość, siłę, potęgę...

Ostatnie dni dały nam potwierdzenie prawdy, znanej Polakom od dawna, prawdy, którą nasi wieszcze narodowi głosili, a która mówi, że każdy naród na własne jedynie siły liczyć powinien, że oglądanie się na innych, na obcą pomoc zawodzi. Niedocenianie tej prawdy sprawiło, że utraciliśmy kiedyś wolność. Teraz o takim a nie innym załatwieniu sprawy Śląska Zaolzańskiego zadecydował sam naród polski, zorganizowany w jednolity blok patriotyczny, skupiony instynktownie dokoła naczelnych władz Polski.

Ostatnie dni przekonały nas, że naród polski nie utracił zmysłu politycznego, nie zatracił tego instynktu, który w chwilach ważnych, stanowczych każe mu działać tak, a nie inaczej. Ten instynkt narodowy postawił przed społeczeństwem polskim w ostatnich tygodniach jako nakaz chwili konieczność zjednoczenia całego narodu, konieczność zgody, jednomyślności. Mieliśmy możność zobaczyć jak ogromną wartość to zjednoczenie narodu posiada, mieliśmy możność przekonania się, że jedność duchowa całego społeczeństwa to jeden z czynników decydujących o zwycięstwie. Nic nie jest warta siła bez ducha. Zwycięstwo zależy od rąk dźwigających broń i od ducha, który nimi kieruje. Naród polski wyczuwając powagę chwili zjednoczył się szybko, skupił uwagę w jednym punkcie, zapominając o tym wszystkim, co go przedtem dzieliło. Jeden silny, stanowczy głos narodu, jaki szedł przez ziemię polską, przyczynił się do stworzenia tej siły, która potrzebna była, by żądania polskie zostały uwzględnione. „Nie można organizować państwa, nie można myśleć o uzdrowieniu czegokolwiek w państwie, kiedy się nie ma zorganizowanej i jednolicie kierowanej woli”.

Przekonaliśmy się, że środkiem niezawodnym, do zwycięstwa prowadzącym, jest bezsprzecznie jedność, jaką społeczeństwo polskie wykazało w ostatnich dniach. Cały naród polski złączyła w tych dniach troska o potęgę państwa, o jego

*) Z przemówienia Marsz. Śmigłego - Rydza z dnia 1.X. 1938 r.

słuszne prawa. Chodzi teraz o to, by ta sama troska łączyła naród zawsze, chodzi o to, by to zjednoczenie nie było tylko „na święto", byśmy na jedność nie zdobywali się jedynie w chwilach ważnych, decydujących; chodzi o to, byśmy



Rduch Bernard.

ŻELAZO I PARA

zawsze byli na każdą możliwość przygotowani, by to zjednoczenie narodu było na codzień, na zawsze!

Trzeba przygotować się na to, że przyjdzie kiedyś taka chwila, która zażąda od nas wszystkich naszych sił moralnych i fizycznych. Taką będzie nasza Ojczyzna, jakimi my bądziemy.

Będzie silną i potężną, jeśli nasze charaktery będą silne i potężne, jeśli w postawie i czynie każdego Polaka znać będzie siłę i potęgę ducha. A droga do tej potężnej Polski — tylko przez zjednoczenie! Wysiłki jednostkowe rozpraszają się bez rezultatu, wysiłek zbiorowy tylko ma wartość, on jest wszechmocny, on jedynie posiada tę siłę, która zdolna jest zmieniać bieg historii.

Droga nowych Polaków jest tylko jedna: prowadzi ona wytkniętym przez J. Piłsudskiego szlakiem zdyscyplinowanego marszu, w którym wszyscy podporządkowani są karnie wielkiej idei Narodu Polskiego. **Z. Młudzik, II lic.**

Bernard Rduch.

ZA WOLNOŚĆ

Noc ciemna... głuch... Północ blisko —
Puszcza. — Polana mała
wysadzona świerkami.
— To krwawe pobojowisko! —
Między karabinami, kosami
leżą porozrzucane ciała:
— Polaków... Rosjan
— odwiecznych wrogów.
na zawsze złączone w śmiertelnym uścisku;
pojednani — na wieki... w Bogu!
— — — — — — — — — — — — — —

Wtem coś się ruszyło... drgnęło...
próbuje powstać —
jakaś bryła martwa. — —
— To powstaniec!! Wielka postać! —
Bohater!! Czerwonych partia!!

Wstał z trudem żołnierz ranny.
. . . .
Nagle zniknął wielki ból!
W oczach jego jasny błysk —
Słyszy krzyki; pogwizd kul;
szabel, kos, granatów świst.
— Naprzód! Naprzód! — Za mną! Siecz!!
Na Moskala! Precz z nim! Precz!! —

Czuje jednak, iż mu sił nie staje;
Czuje w sobie silny głód —
Słania się; płacze cicho, przenikliwie:
— Czy mnie wyratuje cud?...
Skarży na swą dolę... wyznaje
— puszczy, trawie, niwie...
swój wielki żal.
Skarga wbiega w lasy... w gaje —
i nie ustaje — nie ustaje — —
W bezkresną leci dal...

Bezlitośnie wkracza
chwila zgrozy...

...Konający potem zimnym się zalewa;
tęskni... i upada u podnóża drzewa
— obok starej, białej brzozy...
Coraz większy jego żal
za życiem! — Za życiem!!!
Wspomina dom, rodzinę,
córkę, żonę, która ubolewa...
— Słyszycie mnie!... Słyszycie!!!
Ja ginę!... Ja ginę!!! — Ginę!!!!
. . . .
Skarga pędzi w bezbrzeżną dal...
— — — — — — — — — — —

Lecz o dziwo! —
Twarz powstańca promienieje,
jaśnieje....
Już nie płacze, żali się
ani łaski, skarży się —
Uśmiecha się żołnierz...
Oczy swe zawiera...

Wie, że go życie odchodzi...
że umiera! — —
Ale chętnie kona,
bo za wielką sprawę —
za Ojczyznę — za Jej wolność!! ..

* * *

I skonał bohater... Skonał —
Jeno buki, dęby dziewicze,
bliskie świerki, brzozy widziały
jego uśmiech, wargi zsiniałe
i spokój, który rozjaśnił oblicze,
gdy go Ona —
Ojczyzna droga
z powrotem do swego
zabrała łona.

—oOo—

SETNA ROCZNICA MATEJKI

Upadło państwo polskie. Zabrakło wodzów, którzy by z bronią w ręku powiedli naród do boju, do chwały... Wodzami narodu stali się teraz wielcy twórcy sztuki: muzycy, malarze, poeci. Oni to wiodą naród pośród mroków niewoli, nie dając mu wydrzeć z pamięci myśli o sławnej przeszłości, nie pozwalając mu jednocześnie wyrzec się wiary w przyszłość. Oni to nie dają zginąć zupełnie swym upadłym na duchu braciom.

Słusznie więc czci społeczeństwo polskie pamięć jednego z przewodników narodu, potężnego odtwórcy naszej historii, Jana Matejki. Czci w nim całkowite oddanie się narodowi. Dokonała tego zrodzona z prailów narodowego ducha, siła wewnętrzna, zawarta w jego dziełach, ta sama siła, którą spotykamy u drugiego karmiciela narodu obrazami dawnej świetności, budziciela Polaków, Sienkiewicza. Siła ta kazała wielkiemu twórcy wyrwać z uśpienia naród polski, nie dawać mu gnuśnieć w żałobie, rozpalać serca miłością ojczyzny, uczyć tęsknić do Polski wolnej i potężnej i szerzyć wiarę w jej zmartwychpowstanie. Kazała mu wskazywać narodowi wielkie ideały i prowadzić go ku wolności, a świat cały przekonywać, że Polacy, choć pozbawieni wolności politycznej, ducha swego w kajdany zakuć nie pozwolą, że duch ten żyć będzie wśród nich wiecznie. Szedł więc Matejko za tym głosem wewnętrznym i służył wiernie przez szereg lat ojczyźnie, służył tym, czym najlepiej władać potrafił: pędzlem.

Wychowany w Krakowie, mieście zabytków i pamiątek, Matejko od dzieciństwa kochał przeszłość Polski; wsłuchiwał się w opowiadania tych zabytków o dawnej świetności i okazałości Polski, przejmował się czcią dla niej; coraz mocniej pragnął żyć tą przeszłością, coraz więcej widział i coraz mocniej kochał. W miarę, jak dojrzewał, rosła siła jego wyobraźni. Tkwiła w nim stale niezłomna wiara, że Bóg przeznaczył naród polski do wielkich rzeczy, że Polacy mają drogę zbawienia, po której powinni kroczyć, a nie kroczą. Postanowił tę drogą wynaleźć, wyczuć i pokazać narodowi.

„Grunwa d", „Hołd pruski", „Unia lubelska", „Stefan Batory" to podkreślenie rycerskich czynów, waleczności naszych ojców, to uświęcenie żołnierskiej, ofiarnej woli, tak potrzebnej dla narodu. Z dzieł tych uczyła się młodzież przywiązania, miłości ojczyzny i czci dla bohaterstwa.

W „Bitwie pod Grunwaldem", w obrazie strasznej, zaciętej, na śmierć i życie prowadzonej walki, widział naród ile fizycznego i moralnego wysiłku zużyć musieli nasi przodkowie, by złamać potęgę Krzyżaków.

A „Batory pod Pskowem" czyż nie przemawia silnie i wyraźnie do każdego, kto raz nań okiem rzuci! Posłowie Iwana Groźnego prowadzeni przez Po-

ssewina proszą króla o pokój. Klęczą pokornie przed nim brodaci, ponurzy, w wspaniałych, haftowanych futrach. Nad królem sztandary, naokoło wojownicy, panowie, w głębi skrzydlata husaria. Król spokojny, postawa, oczy przymknięte. Wystarczy przyjrzeć się jego mocnemu spojrzeniu, jego mieczowi i jego postawie, by zrozumieć wielkość tego monarchy. Wystarczy porównać niewolniczą postawę bojarów o twarzach wyrażających niepokój i przerażenie z dumną postawą i radosnymi obliczami panów polskich, by zrozumieć różnicę między swobodą w Polsce a niewolnictwem w Moskwie.

A „Hołd Pruski" — czyż nie nasuwał wielu pięknych myśli, czyż nie wzbudzał w każdym Polaku dumy, która ogarniała każdego na widok mistrza krzyżackiego Albrechta, na klęczkach składającego Zygmuntowi I przysięgę wierności.

Przez „Unię lubelską" nawołuje znów Matejko do jedności, do konsolidacji narodu. Przedstawia tu doniosły akt braterstwa, zawartego między Polską i Litwą. Twarze zebranych są poważne, a zarazem radosne z powodu uroczystej chwili.

I wiele, wiele innych dzieł wypuścił mistrz spod swej ręki. „Kazanie Skargi", gdzie świetnie przedstawiony Skarga, kaznodzieja-prorok, przepowiadający okropną przyszłość Polski, wielki i równie smutkiem przejmujący „Rejtan", „Sobieski pod Wiedniem", „Kościuszko pod Racławicami", „Śluby Jana Kazimierza", „Dzwon Zygmuntowski" — oto cały szereg potężnych tworów wielkiego malarza. A każda postać tu żywa, każda wspaniale wykonana, a wszystko złączone w jedną potężną, harmonijną całość.

Trudził się więc Matejko, pracował w pocie czoła nie dla siebie, lecz dla narodu i jego chwały, pracował, trawiony gorączką tworzenia jak najwięcej, jak najprędzej.

Jakiś nieznany człowiek określił najtrafniej imię tego wielkiego malarza: „Imię Jego — znój i płomień".

Z. Młudzik II. lic.

Bernard Rduch.

GŁOS JESIENI

Jesienną szarą godziną,
gdy gęste mgły na pola
spłyną,
rozlega się smutna
melodia jakaś
żałosna... okrutna,
co wzbudza ból — —

A smutek wionie
z nagich opuszczonych
pól...
i szepcze — płacze,
w serce ci kołacze:

— Przeszła wiosna —
ta radosna —
Minęła — minęła!...
Poszła gdzieś-ci hen!...
— w zaświaty...
gdzie nie więdną żadne kwiaty —
Jednak wróci! wróci znów
w aueroli róż i bzów,
by dać światu
życie! —

* *

Tak to w wieczór jesienny,
ponury,
gdy gasną zachodu purpury,
słyszysz głos,
co zmienia los
i każe tęsknić...

Z MIŁOŚCI

Przez uchylone okno złote słońce zajrzało do wnętrza pokoju i rzuciło snop jasnego światła na stół zarzucony narzędziami, na zaczęty model samolotu i na pochyloną nad nim postać chłopca. Długie włosy spadły mu na czoło i zasłaniały twarz. Uczuwszy łagodne ciepło podniósł głowę, ruchem ręki odrzucił włosy na tył głowy i przeciągnąwszy się spojrzał w okno. Dopiero teraz usłyszał tysiączne głosy dolatujące z ogrodu.

Przez moment wsłuchiwał się w nie, lecz wnet pochylił znowu głowę i zajął się robotą, jednak już nie z takim zapałem, jak poprzednio. Uczucie szczęścia i radości, jaką dawało mu oddanie się ukochanej pracy, zamąciło jakieś inne, uczucie tęsknoty za światem, za tym wesołym życiem. Dusza jego trzymana w samotności i odosobnieniu zbuntowała się, na twarz wystąpiły czerwone plamy; wyprostował się, nerwowym krokiem zbliżył się do okna i wychyliwszy się przez nie, rozglądał się dokoła.

Wszędzie panował ruch, wrzało życie letniego dnia; ptaki świegotały wesoło, chmura owadów uwijała się między kwiatami — w powietrzu unosił się zapach róż i lewkonii.

Stopniowo z twarzy jego znikały czerwone plamy, stawał się rumiany i wesoły, w duszy wymawiał sobie swą głupotę — że taki piękny czar marnował dla zwykłego modelu. Z uśmiechem spojrzał do wnętrza pokoju, potem zwinnie przesadził parapet okna i znalazl się w zieleni ogrodu wśród radosnego gwaru. Czuł się teraz swobodnym i lekkim, czuł że porywa go ta wrzawa — życie...

Pobiegł w głąb ogrodu, rzucił się na wonną trawę i przestał myśleć o wszystkim — wdychał cudowną woń, rozkoszował się słońcem, czuł, że jest szczęśliwy, szczęśliwy...

Wtem drgnął cały. Do uszu jego doleciał cichy szum, odległy jeszcze warkot motorów. Instynktownie zerwał się z ziemi, wbiegł na niewielki pagórek i szukał czegoś w kierunku, skąd dolatywał coraz głośniejszy warkot.

Na niebie ukazały się trzy lecące kluczem „pezetelki". Poznał je odrazu i przywarł do nich wzrokiem. Pieścił ich kształty, zachwycał się wdziękiem ciemnych sylwetek i rozkoszował uszy potężną i wspaniałą zarazem melodią, symfonią lotu. Czuł, że dusza jego należy do tych szarozielonych ptaków. A one, jakby chciały mu się bardziej przypodobać, zniżyły lot, błysnęły w słońcu stalą i kołysząc się lekko przedefilowały przed nim. Warkot ich motorów drgał spiżowym tonem w czystym i rozgrzanym powietrzu.

On stał nieruchomy na pół przytomny. Z jaśniejącą twarzą patrzył na trzy niknące punkciki i marzył. Siedział w kabinie, czuł kołysanie się płatowca, a na twarzy pęd powietrza. Drżącą rękę trzymał na knyplu, przed sobą miał drgające wskazówki zegarów, wreszcie tam, na dole, widział ziemię szarą, niewyraźną...

Nagle jakiś dreszcz zatrząsł jego ciałem, czoło przerwała głęboka zmarszczka, z twarzy znikł rumieniec szczęścia. Pochylil głowę i wolnym krokiem zmierzał do domu. Wszedł do pokoju i przez chwilę wpatrywał się z miłością w swój model. Potem usiadł i zabrał się do przerwanej pracy z dawnym zapałem. Długie włosy zsunęły mu się na czoło i przesłoniły twarz.

Sk. Ya.

Złóż ofiarę na „FUNDUSZ OBRONY NARODOWEJ"

Przeździk Marian

WIEJSKI CMENTARZ

Rozszeptały się zmurszałe krzyże lat długich spowiedzią
i zapomnienia rytmem wielką skargę w niebo słały —
... urosła w noc historia naprzekór ludzkiej niewiary,
odżyły dawne legendy mogile czasu wydarte...

— Pod cienie brzóz cmentarnych wypełzły blade ciała
i w oczodołach na księżyca poświatę otwartych
w dniach wieczności zagubione wyniosły spojrzenie...

Stanęły posągami wybielone piszczele
upiornym widmem wieczorów — czyjegoś cierpienia
— nieziszczonych w przestrzeni czasu pragnień i marzeń wiele
rozdzwoniło się bezzębnymi szczękami w potężne wołanie
o należne, zasłużone pomniki z marmurów!

Potem cisza... jeno ramion zbutwiałych skrzyżowanie,
co dniom przyszłym na niezrozumień świadectwo zostało
położyło się cieniem na cmentarza poszczerbionych murach.
— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —
A spłakane na mogiłach brzozy żalem w dal szumiały...

STAW I GWIAZDY

Szumiał staw: — Nade mną
Niebo się gwiazdami
Pyszni, niby klejnotami,
I księżyc w dal spogląda z zadumą tajemną...
Pyszni się niebo gwiazdami, księżycem,
Jakby taiło w sobie jakąś tajemnicę —
A nie wie o tym,
że ja je mogę całe, z gwiazd, z księżyca [złotem,
Zawrzeć w swojem łonie.
Bo mam siłę, co cały świat widomy chłonie.
To rzekłszy wzdął się staw ogromną pychą,
I, jak bankier, po brzuchu wypukłym się [gładzi,
Pokazując swój przepych ropuszej czeladzi,
Co w błocie kwakała nieśmiało i cicho...

Widząc tę dumę stawu niebo się rozśmiało:
— Zaraz ja ci odbiorę twą szatę wspaniałą,
Zaraz zgaszę twe klejnoty:
Wiedz, że księżyc to nie jest twój zegarek [złoty...
To mówiąc niebo skinęło na chmurę...
Ta przywlokła natychmiast swoje płachty [bure,
I oczom ziemi
Cały przepych niebieski wnet zakryła niemi...
A staw, że był niechludny,
Zamulony, mętny i brudny,
Więc gdy zgasły po niebie rozsypane dziwy
Stał się naraz obrzydliwy...

W. W kl. II b. G. M.

Bernard Rduch

ERICH WALENZIOK

(Obrazek z Górnego Śląska)



Tarcza złotego słońca ginęła zwolna między czarnymi płatami nieba, a coraz więcej i wyraźniej wstępowały na horyzont większe lub mniejsze światła. Zdawało się, że z ich wzrostem zapala się ziemia, że ogień, ta najstraszniejsza siła natury, wszystko pochłonie i wszystko wniwecz obróci. Mniemanie to potęgowało wydobywanie się z różnych punktów widnokręgu olbrzymich kłębów gęstego dymu, białych obłoków pary i zgęszczonego powietrza. Nadto pokazywały się na rozmaitych hałdach lokomotywy, które ciągnęły za sobą szeregi wózków napełnione płynącą i gorącą jak piekło— lawą. Sunęły one na skrajach wysokich usypisk po krętych wąskich szynach z dwojga złowrogimi oczyma — latarniami na przedzie, niczem gąsienice potworne, by wryć się w ziemię — przystanąć, wypluć całą zawartość wrzącego, ognistego płynu i rozjaśnić na chwilę niebo daleko widzianą łuną.

Inne hałdy — zamarłe, na których nie pracowano, robiły wrażenie rozkraczonych, spoczywających pokracznie olbrzymów. Wszędzie słyszało się trzaski, huki, uderzenia, krzyki. Jakaś dziwna, niesamowita symfonia wybiegała w świat z tego całego, głośnego zamieszania, z tego dudniącego środowiska pracy. Ogłaszała i wychwalała ona moc i potęgę Górnego Śląska.

Miało się ku wieczorowi.

Erich Walenziok, stary górnik, siedział smutny i markotny w okienku swej skromnej izdebki i żuł zapamiętale tytoń; spoglądał na wrzące życiem fabryki, huty, kopalnie... tak drogie jego sercu i dumał, wspominał dawne czasy, kiedy i on był młody, szczęśliwy — i pracował.

Był sam... i to od paru już lat. Nikt go nie odwiedzał. A był taki samotny i opuszczony od chwili, gdy jego ukochaną żonę Weronikę do grobu zabrano. Mówił mu wtedy doktór, że to od stopniowego zatruwania organizmu niezdrowym powietrzem i że ono podobno z pobliskiej hałdy pochodzi...

— Jezusku Święty... Jezusku — westchnął Walenziok, by swoim nieszczęsnym wspomnieniom dać upust.

Jego siwe oczy błądziły nerwowo po owych czarnych plamach — hałdach na horyzoncie. Wodził długo, długo... aż spoczęły niespokojnie na wyniosłym usypisku, które wzbudzało w nim od szeregu lat zgrozę. Z niego to wydobywał się trujący czad; on to zabrał mu ukochaną Weronikę. Drobne niebieskie płomyki, podobne do żywych zwierzątek, lizały zwinnie tu i ówdzie powierzchnię hałdy. Dookoła nich wytwarzał się straszny żar i skwar. Wszędzie unosił się cuchnący siarką, gęsty, żółty dym. Wiatr wciskał go w każdą szczelinę, zanosił go do mieszkań, do ogrodów; dym wnikał w płuca ludzi starych, w płuca dzieci, co ledwo chodzić umiały, i truł, truł, co tylko na drodze spotykał.

Wszystko więdło i usychało!

Stary Walenziok odetchnął ciężko chorymi płucami.

Jezusku... Jezusku Święty... — wyszeptał i jeszcze bardziej się zadumał.

Początkowo lubiał ten swąd i wydawał mu się przyjemnym. Mówił, że to gdzieś mięso wędzą. Z biegiem jednak czasu odczuwał coraz silniejsze bóle głowy; ogarniało go co chwila znużenie, nie sypiał całymi nocami. Jego siwe oczy przygasały powoli, ciało całe nabierało żółtego i sinego koloru. A swąd zabójczy krztusił, krztusił i krztusił jego wątłe płuca.

A wtedy zaczął hałdę nienawidzieć!

Zamykał okienko, by i jego trucizna nie położyła. Płukał gardło wodą — ale i ona jad w sobie zawierała...

I dumał Walenziok i biadał nad swoim losem.

Wszystko już przeżył: i radości i nieszczęść chwile. Był zawsze najodważniejszy wśród kamratów. O, stary jest bardzo! Już 60 lat. A chciałby jeszcze żyć, opowiadać młodym, jak on to... Tylko że chory, jego płuca, że go ciągle krztusi i krztusi...

Łzy spłynęły po jego wychudłych, pomarszczonych policzkach. Otarł je spracowaną ręką i westchnął ponownie ciężko:

— Jezusku Święty... Jezusieńku...

Naraz poczuł silny napływ krwi do głowy; zdawało mu się, że słyszy jakiś głos — jakiś nieziemski, znany mu. Poznał go odrazu... To jego Weronika go wołała, ta sama, którą przed laty pochował, która — jak mówił doktór — przez hałdę zatruta została. Wołała go do siebie — wołała...

Resztkami sił wstał z zydelka, otwarł drzwi i trzymając się poręczy zszedł na dół i wydostał się na ulicę. Zataczał się jak pijany. Dla podtrzymania równowagi wywijał mocno rękami — i szedł... szedł...

Szedł — o Boże!... Na pewną śmierć!... — w kierunku hałdy!!!

Stary Walenziok był w silnej gorączce. Nie zdawał sobie sprawy z tego, co czyni.

Dzięki strasznemu wysiłkowi dowlókł się do złowrogiego usypiska; gramolił się na nie z wielkim trudem. Nieszczęśliwy czołgał się na czworakach. Czepiał się hałdy rękami i nogami; trafiał nierzadko na ostre bryły szlaki, które kaleczyły go niemiłosiernie... Krew sączyła się z jego ran, spadała na gorącą

szlakę i krzepła tam momentalnie. Każda najmniejsza czerwona plama nabierała w blasku sinych ogników krystalicznych kształtów, — wyglądała jak róża... prześliczna... purpurowa... Stary Walenziok widział te kwiaty.

— Ale wonie — myślał.

Wreszcie wydostał się na sam szczyt hałdy. Chwiejnym krokiem posuwał się naprzód.

Gorąca ziemia poczęła parzyć jego pokrwawione bose stopy i ręce. Obejmował go całkowicie ciężki śmiertelny czad. Ze wszech stron go otoczył, jak wąż, pełen jadu i złości i wciskał się bezlitośnie w jego zamierające już płuca.

Patrzał stary Walenziok na ogniki; one uśmiechały się do niego. Czuł, że jest w domu, że mu całkiem dobrze: tak lekko i ciepło... Zdawało mu się, że wszystko mówi wokół niego: nie ma Walenzioka, nie ma... Próbował... chciał uchwycić w ręce płomyk. — Po co? — myślał. Było mu tak jakoś wygodnie i dziwnie: to ogień i czad tak go do siebie tuliły.

Dziwił się bardzo stary, że nie on się do płomyków zbliża, tylko one same do niego przychodzą. Tak go kochały.

— Pierrrrorona... fajnie... — wykrztusił.

Po chwili o wiele słabszym głosem dodał:

Jezusek Święty tak chce...

W oddali jeszcze słyszał głos: nie ma Walenzioka, nie ma...

Otwarł oczy... wykrzywił strasznie wargi... i takim... na wieki... pozostał.

Mrok zalał tymczasem cały Górny Śląsk.

— — — — — — — — — — — — —

Ale na Śląsku wszystko po staremu zostało. Jeno może więcej dymów i czerwonych ogni w niebo bucha, a łuny nocą z większą może mocą niebo rozwidniają.

DZIEŃ NA OBOZIE JUNACKICH HUFCÓW PRACY

— Pobudka, pobudka — wstać! — usłyszeliśmy w namiocie donośny głos junaka służbowego.

Spojrzałem na zegarek. Była godz. 4 min. 30.

— Nawet porządnemu człowiekowi wyspać się nie dadzą! — mruknął ktoś gniewnie.

— Heniek — krzyknął któryś — zobacz, jak jest na dworze.

Heniek uchylił płachty namiotowej i nagle z właściwym sobie grymasem twarzy huknął w głąb namiotu:

— Panowie, kapral idzie!

Pobudka to „guzik" w porównaniu z ruchem, jaki teraz zapanował w namiocie. W przeciągu 5 minut posłano łóżka w tzw. „kostkę" i każdy wybiegł na zbiórkę przygotowany do mycia.

— W prawo — zwrot! — komenderował kapral, który miał tutaj tytuł sekcyjnego. — Kierunek umywalnia — maszerować!

Myliśmy się pod kranami urządzonymi obok studni. Zimna woda, w której ręce niemiłosiernie marzły, bardzo dobrze działała na zaspanych. Natychmiast powracał utracony podczas snu humor i chęć do żartów. Zęby bardzo szybko oswoiliśmy z zimną wodą.

Podwójny gwizd syreną i głos służbowego:

— Zbiórka do modlitwy!

W jednej sekundzie nikogo nie było przy umywalni. Stawaliśmy przed na-

miotami na zbiórkę, którą robił zastępca drużynowego, junak bez cenzusu. Każdy był w koszuli, w chełmie i z menażką w ręku. Pomaszerowaliśmy na plac zbiórki.

— Pluton do — modlitwy! — komenderował dyżurny podoficer.

Wszyscy zdjęli chełmy i po zmówieniu „Ojcze nasz...” i „Zdrowaś...” zaśpiewali „Kiedy ranne wstają zorze...” Śpiew był silny, ale robiło się chyba ze 20 głosów, z których połowa już skończyła pierwszą zwrotkę, a reszta jeszcze wywodziła jakieś przeciągłe nieskoordynowane trele... aż do skutku, tzn. dopóki sekcyjny nie przerwał ich muzycznego zapału. Po śpiewie rozległa się komenda:

— Po—modlitwie. W prawo—zwrot! Rząd w tył! Kierunek kocioł — marsz!

Po śniadaniu szybko wymyliśmy menażki i poszliśmy do „magazynu“, aby wybrać sobie dobre łopaty.

Dwa krótkie gwizdki i głos służbowego:

— Zbiórka do pracy!

Pomaszerowaliśmy do pracy. Kopaliśmy rowy na łąkach, przez które miała iść droga. Stanęliśmy rzędem wzdłuż zaniwelowanej (oznaczonej palikami z dokładn. do 1 mm.) przez inżyniera drogi i zaczęliśmy kopać. W nocy padał deszcz, więc w wykopanym wczoraj rowie stała woda. Tuż przy nim pracował ze mną Heniek. Biedak!!! — Oto w tej chwili, kiedy na niego spojrzałem, wylądowała mu na chełmie gruda gliny i wraz z nim (z chełmem nie z Heńkiem) wpadła do wypełnionego wodą rowu.

— Co za bezczelny cel — mruknąłem.

Heniek szalał ze złości, ale do końca obozu nie mógł się dowiedzieć, z czyjej ręki wystartowała ohydna bryła.

Praca nasza była dość ciężka. Rowy, które na tym wzniesionym kawałku terenu dochodziły do 2 m. głębokości, trzeba było kopać w glinie. Często natrafiało się na wodę zaskórną, która utrudniała pracę zalewając rów. Była ustalona norma (słowo, którego po „kostce”, najbardziej nie cierpieliśmy), według której każdy miał wyrzucić dziennie 2,25 m.^{3} ziemi. Trzeba było solidnie pracować, aby pracę swoją skończyć na wyznaczoną 5,5 godz. Najlepiej było zabrać się do solidnej pracy zaraz po przyjściu, kiedy jeszcze nie było nieznośnego gorąca, tak bardzo dającego się później we znaki.

O godz. 10 zostawiwszy łopaty w ziemi pobiegliśmy na drugie śniadanie. O godz. 10 m. 30 byliśmy już z powrotem przy pracy, którą skończyliśmy o godz. 12. Po wyczyszczeniu łopat i zdaniu ich do magazynu czyściliśmy buty spodnie i myliśmy się. Potem następował miły odpoczynek. O godz. 13 obiad i znów odpoczynek. Dopiero o godz. 14 min. 45 rozpoczynaliśmy musztrę.

Stawaliśmy w mundurach i chełmach (zielone, zrobione z lnianego płótna i nakrochmalone. Zmoczone na deszczu, były sztywne jak z korka). Musztra była lekka, a jednak nam wydawała się uciążliwą ze względu na gorąco i rozleniwienie długim odpoczynkiem po pracy. Z musztry pozostanie nam na zawsze w pamięci „lotnik” i „marsz, kierunek niebo”. Co to jest takiego, dla niewtajemniczonych pozostanie narazie tajemnicą. Po godzinie musztry następowały gry, podczas których junak z cenz. miał wykład dla junaków ze starego rocznika (tak mówiono na junaków bez cenzusu).

Teraz każdy czekał z niecierpliwością na rozkaz, po którym dawano nam listy i zawiadamiano o przesyłkach. Rozkaz był o godz. 18. Czytał go sekcyjny, szef naszego plutonu (był to pluton wydzielony), a był podpisany przez dowódcę plutonu — podprzewodnika. Szef był bardzo miły. Nie dlatego, że klecił, a nie budował, zdania, ale dlatego, że wszystko — jak sam mówił — uwzględniał.

Po odczytaniu rozkazu następowało rozdanie poczty. Dziennie przychodziło dla 40 cenzusowców do 5 paczek i do 30 zł. pieniędzy. Ci, do których przychodziło więcej paczek i pieniędzy, mieli większe poważanie u junaków ze starego rocznika i między nimi dochodziło szybko do „współżycia", opartego na „trwałych" podstawach z paczek żywnościowych i pieniędzy. Dopiero po czterech tygodniach oceniłem zupełnie wartość informacji dla maturzystów p. pułk. Kunca, komendanta J. H. P.

Po rozdaniu poczty szef komenderował:

— Ba - czność! Przygotowanie do kolacji i fasowanie chleba. Do namiotów — rozejść się!

O godz. 19 była kolacja. Modlitwa, która miała być o godzinie 21, na naszą prośbę była zawsze o godz. 20.

Wartę trzymaliśmy na dwie zmiany, których granicą była godz. 1.

Często w nocy padały deszcze. Nie słyszeliśmy nawet tego śpiąc po dniu pracy twardym, zdrowym snem.

Poborowy z cenzusem.

GÓRĄ P. W. OSTROWIEC!

Pociąg osobowy z transportem oddziałów P. W. zatrzymał się na stacji Terszów — Spas. Z wagonów zaczęły się wysypywać zielone mundury, które po paru minutach długim wężem pomaszerowały przez wieś w kierunku obozu odprowadzane ciekawymi spojrzeniami miejscowej ludności. Wśród okolicznych gór rozlegały się kilkakrotnym echem melodie piosenek żołnierskich. Śpiewali wszyscy, bez względu na zdolności śpiewacze, słuch i głos, nic więc dziwnego, że zamiast właściwych piosenek słyszeli ludzie ich wariacje.

My, Ostrowiacy, jako młodzieńcy pochodzący z miasta o wybitnej kulturze muzycznej, staraliśmy się, aby nikt nie potrafił nas przekrzyczeć. Po kilkunastu minutach dotarliśmy do obozu. U wejścia powitała nas brama triumfalna, wzniesiona przez miejscową ludność. (Odwdzięczyliśmy się jej później za to odcinkiem drogi bitej). W obozie czekały na nas rozbite już namioty. Zaczęło się rozkwaterowanie, połączone z pozornym nieładem, bieganiną, krzątaniną, wreszcie późnym wieczorem zapanowała cisza.

* * *

I tak rozpoczął się obóz. Oprócz codziennych ćwiczeń umysły wszystkich zaprzątnięte były przygotowaniem do ogniska. Chodziło przecież o moralne pierwsze miejsce w organizowaniu ognisk kompanijnych. Nic więc dziwnego, że „aktorzy" występujący w ognisku mieli specjalne przywileje. Gdy cała kompania wyruszała na ćwiczenia, „aktorzy" po cichutku, z rozkazu dowódcy kompanii, wymykali się do lasu i na jakiejś polance opracowywali swoje numery. Tak się jakoś złożyło, że w ognisku II kompanii brali udział przeważnie Ostrowiacy, a dowódca kompanii, jako także Ostrowiak, specjalnie o nich dbał. Nie mogliśmy więc narzekać na przemęczenie. Ognisko udało się b. dobrze. Było przemówienie, tańce, śpiewy, skecze, były liczne brawa. Ale prawdziwy entuzjazm wzbudził Balet Nieparnella (jak nie Parnella, to oczywiście z Ostrowca). Osiem pięknych, zgrabnych baletnic pląsało dookoła ogniska w takt walca straussowskiego. Niesłychany entuzjazm i burzliwe oklaski wzbudziła szczególnie ostatnia baletnica, która mimo swych „filigranowych" rozmiarów i delikatnej muskulatury zachwyciła publiczność lekkością, powiewnością i wdzięcznością ruchów. Nawiasem wspomnę, że ta baletnica zdobyła



Rys. Bernard Rduch.

... osiem pięknych, zgrabnych baletnic pląsało dookoła ogniska...

później pierwsze miejsce w rzucie kulą i stumetrówce.

Dowódca kompanii był więc z nas zadowolony, miał tylko jedno „ale". Pewien kandydat na Kiepurę nie wykorzystał należycie swoich zdolności głosowych i nie dowiódł publiczności, że Kiepura to jeszcze nie ostatnie słowo w rozwoju możliwości śpiewaczych. Tłumaczył się później wprawdzie zmęczeniem w tańcu przed występem, lecz to nie jest tłumaczenie, godne następcy Kiepury.

Sukces, jakim było ognisko, przyczynił się do tego, że ćwiczenia w następnych dniach składały się z wymarszu, odpoczynku i powrotu. Do tego samego przyczyniły się sukcesy sportowe: w dziesięcioboju 1 miejsce (dzięki „baletnicy"), w koszykówce 1 miejsce i w siatkówce 2 miejsce.

Egzamin końcowy także nie przyniósł nam większych trudności. Każdy miał przeznaczoną odpowiedź na jedno pytanie (którego się dokładnie wyuczył) i bez względu na to, jakie nazwisko wymieni pytający, miał na nie odpowiedzieć. Doskonały system. Powinien być naśladowany podczas wizytacji w szkołach. Profesorowie uniknęliby wtedy niepotrzebnych nieprzyjemności.

* * *

Na zakończenie muszę jeszcze wspomnieć o stosunkach z miejscową ludnością. Chociaż w większości składa się ona z Rusinów, to jednak stosunek jej do junaków był bardzo przychylny. Junacy ze swej strony starali się pogłębić tę sympatię przez przemówienia na ogniskach, przez zawieranie znajomości i rozmowy z mieszkańcami. Z. D. II lic.

„NIEBO W PŁOMIENIACH"

Gdy zobaczyłem u kolegi książkę pod powyższym tytułem, mimowoli spojrzałem w niebo. Nic podobnego! Wszystko tam było w porządku, jak nigdy. Okropnie więc zaintrygowało mnie: co też pan Parandowski mógł napisać pod takim tytułem? Dziwnym może się to wydać, ale o tym, czy mam przeczytać daną książkę, często decyduje tytuł. I przeczytałem „Niebo w płomieniach" od pierwszej do ostatniej karty. Z zaciekawieniem. W napięciu. Jak najpiękniejszą powieść.

A nie jest to jednak żaden romans, żadna powieść egzotyczno - fantastyczna. Nie. To tylko najwykwintniej podany, z właściwą autorowi świetnością i wytwornością stylu napisany, w sposób przenikliwy i pełen prawdy odmalowany przełom duchowy dojrzewającego chłopca. Zagadnienie to bardzo rzadko spotyka się w polskiej powieści. Bo choć dzieciństwu i młodości poświęca się u nas w ostatnich czasach aż nazbyt wiele wspomnień, to jednak historia Boga w młodzieńczym sercu i umyśle nie miała dotąd swego dziejopisa.

Rzecz dzieje się w przedwojennym Lwowie, co utworowi dodaje specjalnego uroku. Słyszymy więc cośkolwiek o pracach i nadziejach związanych z odrodzeniem Polski, o nadciągającej burzy wojennej, o młodzieży, która z lekkomyślnych Jurkinów zamienia się w karne oddziały drużyn strzeleckich.

Parandowski doprowadza tę powieść do wybuchu wojny światowej. Mamy pewność, że bohater powieściowy, Teofil, stanie do walki o wolność. Gdy niebo przygasło, stanęła w ogniu ziemia. Mało jest powieści, w których łuny tak wysokich zdarzeń oświetlałyby drogę czytelnikowi. Wbrew powszechnej psychozie kryzysowej dnia dzisiejszego autor każe wierzyć w nadejście nowej prawdy i nowego piękna. Łuna staje się dobrym zwiastunem przyszłości, w którą się wierzyć musi.

Powieść polska nie lubi określać, gdzie toczy się akcja, nie odznacza się „kultem” geografii ojczystej, woli Kielce nazwać Łżawcem, a Kalisz — Kalińcem. Niewiele posiadamy wskazówek, które pozwoliłyby nam iść w ślad za powieściową postacią, jak chodził Wokulski za Izabellą Łęcką, a już prawie niemożliwością byłoby odbudować, na podstawie opisów zawartych w powieściach, miniony wygląd naszych miast.

Inaczej się przedstawia „Niebo w płomieniach”. Parandowski jest plastycznym odtwórcą minionego Lwowa. Gdy towarzyszymy Teofilowi wałęsającemu się po mieście, jakby na jawie widzimy ulice, sklepy, pamiątki historyczne. Po przeczytaniu „Nieba w płomieniach” możemy sobie stworzyć obraz przedwojennego Lwowa i jego okolic na tle pięknego krajobrazu podolskiego.

Książka ta — to połączenie kultu prawdy i piękna z niepospolitą erudycją i mistrzowskim artyzmem prozy polskiej. Z naturalnej skłonności umysłu zamiłowanego w uprawie wartości intelektualnych, Parandowski jest przede wszystkim świetnym essayistą. Gatunkiem stylu pisarskiego, przedziwnie przejrzystego i logicznego, zwięzłego i dokładnego, osiągając pełną wymowę artystycznej prostoty zdania, zdąża śladami ulubionych wzorów klasycznych. Z zapatrzenia się w te wzory wypływa też jego „pasja idealistyczna kultu wartości niepraktycznych, który jest istotny i konieczny w prawdziwej cywilizacji”. Zachować jednak umiał świeże widzenie rzeczywistości i ono jest mu kamieniem probierczym w kształtowaniu własnych sądów odznaczających się równowagą, jasnością i rozsądkiem, gdyż oprócz daru poetyckiego widzenia posiada zdolność przetwarzania swej wiedzy w plastyczne obrazy życia.

Sprawnie czerpie z kolorów świata. Można powiedzieć, że pisze nie atramentem, tylko płomieniami nieba, kurzem ziemi i przeźroczystością powietrza. Opisując życie szkolne, rodzinne, towarzyskie, kreśląc życiorysy czy charakterystyki, przedstawiając obrazki z życia Lwowa, a wszystko z domieszką humoru, z pewną dozą ironii, tak to ciekawie ujmuje, że nawet dysputy teologiczne czyta się lekko i z przyjemnością. Po prostu czaruje ten jego styl olśniewający, niezawodny, który wysunął Parandowskiego na czoło polskich prozaików.

Jerzy Kornacki (absolwent).

PRZYSZŁOŚĆ I OBECNY STAN SPORTU W NASZYM ZAKŁADZIE

Jeśli porównamy wyniki sportowe naszych kolegów uzyskane parę lat temu z wynikami obecnymi, to przekonamy się, że wyniki obecne we wszystkich prawie dziedzinach są o wiele lepsze. Mam tu na myśli dziedzinę gier sportowych, lekkoatletykę i pływanie. Te trzy gałęzie sportu doszły w ostatnich czasach do poziomu, którego mógłby nam pozazdrościć niejeden zakład w Polsce.

Powyższe sprawia nam z jednej strony wielką radość, ale z drugiej strony każe zwrócić baczną uwagę na następujący smutny objaw: przeważna ilość zawodników rekrutuje się z klasy drugiej licealnej; zakładowi grozi przeto w przyszłości gwałtowny spadek poziomu na skutek braku młodych wysportowanych kadr.

Mniemanie to potęguje fakt, iż wyznaczony przez Dyrekcję kol. Kasprzyk z powodu choroby nie mógł pojechać na obóz Wych. Fiz. do Sierakowa. Sport wśród młodych utracił przez to wiele.

mianowicie instruktora sportowego i przewodnika G. K. S-u. W niższych klasach znajduje się parę jednostek pełnowartościowych, ale są one kroplami w morzu, są tym wyjątkiem w każdej regule.

Taki stan rzeczy wytworzyła, według mego zdania, klasa I lic., gdzie nie ma ani jednego dobrego sportowca. Z tej klasy rekrutuje się tylko i tylko (zaznaczam!) piłka nożna, którą można by nazwać „bezmyślną kopaniną“. Jakby na ironię urządza ta klasa co pewien czas zawody piłki nożnej z młodszymi klasami, na które gra ta wywiera zgubny wpływ pod względem rozwoju organizmu. Piłka nożna zagradza niejako drogę innym rodzajom sportu.

Jeśli zatem nie ulegną gruntownej zmianie poglądy wśród młodszych klas na wyrobienie sportowe, to nastąpi — jak wyżej wspomniałem — gwałtowny spadek poziomu sportu, co nie bardzo pochlebnie będzie świadczyło o naszym Zakładzie. Jedyną drogę naprawy widzę w bezwzględnym odrzuceniu piłki nożnej, jako zgubnej dla rozwoju innych, szlachetnych sportów.

* * *

Obecny skład siatkówki wygląda następująco: Żebrowski, Bień, Kwiecień, Ambrożek, Gajos i Godlewski. Najlepszym bezapelacyjnie graczem jest Żebrowski wyróżniający się umiejętnością ścinania spośród swoich kolegów. Niewiele za nim pozostają Kwiecień i Godlewski. Gajos jest zawodnikiem o wielkiej ruchliwości i ambicji. Ambrożek i Bień należą także do wartościowych graczy. Całość tworzy drużynę dobrze zgraną, bardzo trudną do pokonania. Świadczą zresztą o tym ostatnie wyniki. Ich mecz w Skarżysku był koncertem gry.

To samo można powiedzieć mniej więcej o koszykówce. Tu wyróżnia się swą techniką strzałową Kwiecień. Gdyby grał szybciej i mniej egoistycznie, byłby z niego bardzo dobry gracz. Nadzwyczaj ofiarnie, skutecznie i z pewną techniką gra Gajos. Do jego specjalności należą dalekie, prawie zawsze celne strzały. Jako obrońca — niezastąpiony. Rolę środkowego spełnia całkiem dobrze Rduch. Ambrożkowi (były gracz M. K. S. Radom) brak wyraźnie kondycji fizycznej, ale pokrywa ją swymi umiejętnościami technicznymi. Na ogół zawodnik średniej miary. Bienia — gracza absolutnie nie nadającego się do koszykówki, zastąpi niebawem Starzomski, będący dotychczas w niedyspozycji (zerwanie ścięgna). I ta drużyna kroczy ostatnimi czasy od zwycięstwa do zwycięstwa.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć o sukcesach „piątki koszykowej” II kl. lic. podczas ostatnich wakacji na obozie P. W. w Spasie. Po prostu nie istniał dla nieh przeciwnik. Szereg wyników, jak: 40 : 0 z Samborem (mecz ten trwał zaledwie 20 minut), 75 : 15 z komb. druż. Ostrowca, 52 : 17 z Kielcami, jest tego dowodem. Do drugiego spotkania nie doszło, gdyż Kielce oddały mecz walkowerem — 30 : 0. Piękne te zwycięstwa są zasługą nie tylko drużyny: Gajosa, Pory, Rducha, Starzomskiego i Kwietnia, ale i serdecznego opiekuna sportowców, p. kpt. Perczyńskiego. Nagrodą były pamiątkowe dyplomy.

Jeśli chodzi o lekkoatletykę, to jej przedstawicielami są: Starzomski Stanisław, Rduch Bernard i Kwiecień Mieczysław.

Wszyscy trzej mogą się poszczycić zdobyciem niejednego mistrzowstwa na różuych zawodach lekkoatletycznych. W Zakładzie stanowią klasę dla siebie, zarówno pod względem wyrobienia technicznego jak i fizycznego. Takich lekkoatletów dotychczas ostrowieckie gimnazjum nie posiadało.

Starzomski jest obecnie czołowym oszczepnikiem, drugim z rzędu sprinterem, skoczkiem w dal oraz dobrze zapowiadającym się miotaczem. Na treningach z łatwością przekracza w rzucie

oszczepem 40 m. Po udoskonaleniu stylu powinien osiągnąć granicę 50 metrów. W kuli (5 kg.) dochodzi do 14 m., w dysku (1½kg,) do 43 m., w skoku w dal do 6,14 m.

Rduch to lekkoatleta wszechstronny. Do bardziej zaszczytnych zwycięstw jego należy uzyskanie w ubiegłym roku szkolnym najlepszego wyniku wszystkich szkół średnich Polski w biegu na 60 m. — (6,8 sek.). Niemniej zaszczytnym sukcesem jest zdobycie spośród tysiaca junaków mistrzostwa trójboju obozu P. W. w Spasie. W tabeli „10 najlepszych uczniów szkół średnich Polski" zajmuje obecnie w pchnięciu kulą (7¼ kg.) miejsce czwarte wynikiem 12,00 m. Inne jego wyniki: rzut dyskiem (1 kg.) do 50 m., (2 kg.) — ponad 32 m., skok w dal — 6,11 m., 100 m. — 11,8 sek., rzut kulą (5 kg,) — 14,52.

Kwiecień jest najlepszym skoczkiem wzwyż i o tyczce. W tych konkurencjach pochwalić się może pięknymi rezultatami. I w skoku wzwyż posiada on obecnie w Zakładzie najlepszy styl. Wysokość 1,65 przeszedł na zawodach w Lublinie całkiem łatwo. I w tej konkurencji powinien po lepszym treningu osiągnąć upragnione 1,70 m., co już jest wynikiem naprawdę bardzo ładnym. Obecnie zajmuje w tabeli „10 najlepszych" w skoku wzwyż miejsce dziesiąte.

W pływaniu najlepszym bezwzględnie jest Kierysz. Należy on — jak niedawno I. K. C. donosił — do ekstraklasy polskiego pływactwa. Do gorszych od niego, ale całkiem dobrych jak na nasze warunki, należy Kawwa, Łępicz i inni.

Z. K G. M.

—oOo—

TEATR KUKIEŁKOWY DLA DZIECI

W dniach od 29.XI do 7.XII Teatr Kukiełkowy dawał widowisko Lucyny Krzemienieckiej „Niebieskie migdały". Organizatorem tego teatrzyku jest Z.N.P. (Związek Nauczycielstwa Polskiego), wykonawcami—nauczyciele szkół powszechnych. Ze względu, że jest to pierwsze, zdaje się, tego rodzaju przedstawienie w naszym mieście, warto o nim parę słów powiedzieć.

Jeśli chodzi o treść widowiska, to jest ona taka, by była dostępna i zrozumiała dla dzieci, dla których głównie jest to przedstawienie przeznaczone. Jest to więc bajka o dziewczynce, która chcąc uszczęśliwić biedne dzieci w swej wiosce wyrusza w podróż po niebieskie migdały, mające, według podania, zaspokoić pragnienia tego, kto je posiada. Idzie, przezwycięża wszelkie przeszkody i trudności, jakie na swej drodze spotyka, dochodzi wreszcie do upragnionego celu i zdobywa to, czego tak gorąco pragnęła.

Widowisko to bawi, a zarazem uczy i wychowuje, gdyż ma na celu budzenie najlepszych instynktów u dzieci; całość jest tak pomyślana i urządzona, by dziecko odczuwało dobro i pragnęło innym dobrze czynić.

Strona techniczna teatru jest b. dobrze opracowana. Na szczególną uwagę zasługują zwłaszcza piękne dekoracje, przy czym dużą rolę odgrywa tu doskonała gra świateł. Laikom, tym, którzy kukiełek nie znają, należy powiedzieć, że teatr kukiełkowy to rodzaj szopki, którą z pewnością każdy zna. „Aktorzy", występujący na scenie, to lalki poruszane (zdradzam tu tajemnicę) przez niedostrzegalne z widowni istoty, które również za te martwe lalki spełniają funkcje związane z mową, śpiewem i tym podobnymi „czynościami dźwiękowymi".

Podkreślić też trzeba zachowanie i sposób reagowania samych dzieci na sztukę. Na rozpalonych, rozradowanych twarzach widać ogromne zaciekawienie; dzieci są pochłonięte widowiskiem. Co chwila wesołe okrzyki dziecięce przerywają ciszę i biją o twarde mury ścian szkolnych.

Jako zasługę inicjatorów i wykonawców podnieść trzeba, że wiedząc, jak należy podejść do dziecka, wiedząc, że dziecka też nie wolno byle czym zbywać, dali temu dziecku godziwą rozrywkę, przyczynili się do wyrobienia w młodych widzach poczucia harmonii barw, dźwięków i piękna obrazów, rozbudzili tęsknotę do dobra. **m.**

MIKOŁAJ REJ W GIMNAZJUM OSTROWIECKIM

Iż różne i insze przypadki na świecie bywają w każdej sprawie człowieka poczciwego, także rok jest na 4 części podzielon. Więc naprzód wiosna, lato, potem jesień przypadnie. Azaż nie rozkosz, mile latko spędziwszy, z bakałarzem, a i z oną czeladką szkolną się powitać i do onej miłej szkółki powrócić? A uciesznie igrając, o onych krotofilach latowych, smakowitych gruszeczkach, śliweczkach, malineczkach i inszych wdzięcznych potrawkach, o chodzeniu po laskach i inszych rozkosznych sadkach barzo wiela szczebiotać. Ale rychło to się kończy i barzo wiela różnych nauk, słów łacińskich, a, b, c, x, y, każe się w oną pamięć młodą wbijać. A czyż ci godzina nie straszliwa, gdy cię z onych nauk odpytują, a ty igrając i uciesznie szczebiotając, nie barzo rado ci się ono widzi. Azaż nie strapienie, gdy słonko dogrzewa, w onej szkole z bakałarzem siedzieć, a i zdania przytrudniejsze przekładać, albo i o onych bydlęteczkach, szałwijkach i innych trawkach barzo wiela w oną pamięć młodą wbijać. Jakoż myślisz, snadnie wszystko się ukończy. Albowiem wierzysz, że roztropne wychowanie siła obyczajów dobrych umnożyć ci może. Miłe chłopięta, takoż młodzieńce! A jeśliby który postanowił swój żywot poczciwy zamienić, a poszukał sobie dzieweczki poczciwej, ćwiczenia roztropnego, obyczajków nadobnych, a wstydliwych, niechże w zbytnie miłoście się nie wdawa i po onych barzo mało widnych uliczkach z oną dzieweczką nie chodzi, bo na bakałarza łacno natknie się i słów nieprzyjemnych barzo wiele usłyszeć może!

Dzieweczki nadobne, narodzie mdły a ułomny!

Nie więżyć z młodu knefliczków, bryżyczków, pstrych sukienek, jako prosięta, bo z tego swawola i wszeteczeństwo snadnie rość będzie. A i w szkółce one nie barzo rado tak cię widzą, a groza cię przejmuje, czy cię pani nie ujrzy, a i słów przykrych barzo wiela nie powie.

Azaż narodzie mdły, chcesz urodę posiąść?

Trzeba ci tylko majoranik, szałwijkę i insze ziółka nadobne, a skuteczne pijać. Zaś która oną woń cudowną wokół siebie rozsiewać pragnie, niech wyciąg pietruszeczki, onego ziółka miłego a pożytecznego, czyni, a skrapia onym swoją postać nadobną.

Zacni a cnotliwi szafarze onego mizernego losu dziewczęcego, a chłopięcego! Miejcie wżdy baczenie, a wyrozumienie na oną ich głupotę. Jakoż często plugawe i głupie chłopięta w skrytości uciekają, na nic nie bacząc, jeno z młodu krotofil uciesznych, a niepomiernych pilnując i także jeszcze inaczej igrają.

Trzeba one chłopięta strzec od tego, ale jeno nadobnym napominaniem, bo ona młodość zbytnią grozą a frasunkiem snadnie zgwałconą być może. Takoż baczenie i około onych dzieweczek trzeba mieć, bo to naród ułomny, a też wiela lada czego lubiący szczebiotać, a potem z tego wszeteczeństwo urośnie. Baczcież więc, a ono baczenie bez nagrody niebieskiej nie będzie.

Na podstawie pism Reja ułożyły
L. W. — Z. J. kl. III.

NOWA ENCYKLOPEDIA SZKOLNA

A — arytmetyka — potworny wynalazek.
B — bujanie — dar Boży, wybranym tylko udzielony.
C — ciekawość — pierwszy stopień do piekła.
D — dwója — chleb powszedni.
E — encyklopedja — patrz: teka humoru.
F — fujara — sztubak, nie umiejący ściągać.
G — gimnazjum — C. I. W. U. Centralny Instytut Wychowania Umysłowego.
H — humoreska — usiłowanie pisania wierszy.
I — improwizacja — odpowiedź z francuskiego.
K — koleżanka — osobistość, posiadająca sztukę podpowiadania.
L — logika — coś o czym się często mówi, ale rzadko spotyka.
Ł — łacina — dostojna, a nieznana pani.
M — modlitwa — wyjątkowe skupienie u ucznia.
N — napaść — pytanie z powtórki.
O — ortografja — rzecz często nieosiągalna, nawet dla ludzi z wyższym wykształceniem.
P — poeta — człowiek piszący wiersze — dla otoczenia przeważnie nieszkodliwy.
R — ratownictwo — pomoc w nagłych wypadkach, np. w razie nieprzygotowania lekcji.
S — sielanka — obrazek często spotykany na Alei i w parku.
T — teatr — rzecz pożądana, ale często zakazana.
U — uwaga — przykry proces zmuszający do myślenia.
W — wytworność — drapanie się w głowę i t. p.
Z — ziewanie — czynność na niektórych lekcjach obowiązkowa.

Z. J. kl. III gm. żeńskie.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

Łamigłówka geograficzna

Ul. T. Rauch kl. II b.

U	L	Y	E	T	A
K	E	S	N	I	F
A	A	A	N	D	K
S	E	K	K	Y	M
A	U	A	J	N	G
A	A	A	N	M	P
S	L	A	A	K	A
N	O	O	R	E	B
U	U	I	B	A	T

Za rozwiązanie 10 punktów.

Zamienić kolejność pasków w ten sposób, by w rzędach poziomych powstało 9 nazw kolonii państw.

OPIEKUNOWIE PISMA: Krasnowolska H., Urbańska A., Krzyk L .
KOMITET REDAKCYJNY: Kawińska J., Gierdziejewska I., Kłosówna A., Bakówna Z., Rduch B., Nobis W., Domański Z.
ADMINISTRACJA: Dywałówna J., Żołnierczykówna K., Borkowski J., Wójcikowski A.
REDAKTOR NACZELNY: Domański Z.
ADMINISTRATOR NACZELNY; Domański Z.
WYDAWCA: Bratnia Pomoc Uczniów Państw. Liceum i Gimn. Męskiego w Ostrowcu.
KIEROWNIK ARTYSTYCZNY: Rduch B.

Druk. Z. Kaliszczak — Ostrowiec — 1737-38.

Druk Z. Kaliszczak—Ostrowiec. 1737-38

Sprostowanie:
ADMINISRATOR NACZELNY: J. Borkowski.